



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Północ—godzina duchów!

Dawniej, dawniej, wierzone, że o tej godzinie tajemniczej schodzili na ziemię jej niegdyś mieszkańcy, a schodzili, może tęsknotą gnani za wół przerwana uczta życia, może nie otrząśnięci się jeszcze ze wspomnień, które łańcuchem silnym do dawnej przywiązały ich kolebki, może, by ujrzeć kogo, pocieszyć, a czasem przestraszyć szelestem tajemniczym, nieoczekiwanym brzękiem szyby, westchnieniem, które jak wiatr z izby do izby przechodziło. Dawniej, dawniej, ogólną niemal była ta wiara w zjawianie się duchów, dzisiaj w to wierzy tylko gmin ciemny i wytwarza światy dla rozumu—dziecinne, dla umysłów prostych konieczne prawie.

Północ—godzina duchów!...

Na dworze wiatr hula, a hula jak jakiś rumak nieokielzany, rwący zapory wszelkie, stawiane mu na drodze, niewidziany tylko, tajemniczy, rozszalały...

Czy słyszysz, jak szybkimi kopyty przebiega pochyłe pokrycia dachów? Nad twoją głową grzmi—wstrzymał się na chwilę na gżemuś załomie i o ścianę przeciwną całym pędem uderzył.

Co za skok!...

I znowu cisza... Słyszysz tylko oddech jakiejś piersi olbrzymiej, czujesz namysł jakiś, jakby przed nowem, a stokroć szaleńszem przedsięwzięciem... Przeraża cię lekki tentent, jakiegoś rżenia stłumione, ocieranie się jakiegoś szczytu dachów, wyskoki kominów, jakby

niszcząca siła jakaś podważała krokwie i wiązania, by zamącić spokój twój, do trwogi zmusić...

To hula wiatr jesienny... Tak—wiem o tem! a mimo to wyobrażnia różne mary wytwarza i słyszy głosy do jęku i płaczu zbliżone...

Lubię taką noc wietrzną i podczas takiej nocy—samotność... Pisałbym, tworzył—pisał i tworzył jakiś poemat fantastyczny nie kronikę suchą o codziennych wypadkach dni mizernych, które płyną z jednostajnością do rozpaczki doprowadzającą.

Przezieram dzienniki.

Nuż mnie...

Al leży parę listów przedemną dopiero co zauważonych, nieodczytanych jeszcze.

Tych listów tyle codziennie odbieram! Czasami nie wiem sam, dla czego są pisane? czasami kieruje nimi próżność poznania choć listownie pana autora i oczywiście otrzymania odpowiedzi od niego; większość z nich, objętości sporej, zawiera pierwociny prac literackich wierszem i prozą pisanych, z dołączoną prośbą o przejrzenie i krytykę łaskawą, o zachętę i—poprawki stylowe. Grzeczność każe przeczytać, grzeczność każe odpowiedzieć, porobić poprawki, być łaskawym...

Oooch!...

Odłożyłem oto listy na bok, ale mimowoli ręka moja po jeden z nich sięgnęła, mimowoli palce rozdarły kopertę i oczy przebiegły wzdłuż wierszy pisanych równo, pięknie, kreślonych ręką kobiecą...

Podpisu nie było—lecz z treści domyśliłem się autorki.

Byłoby prawdą to wszystko, co list ten zawierał?... A jeśli tak, to nie zmarnował życia, bo jedną duszę smutną pocieszyć, zatrzymać nad przepaścią, z której wyjścia nie ma—nie jest że to zasługą wobec Boga—bezwiedną może, lecz zawsze zasługą.

Rzuciłem niegdyś ziarno jedno w tej pogawędce od lat już tylu prowadzonej z wami, nie wiedząc gdzie upadnie, jaki plon wyda?... A jaką to pociechę jest dla pisarza, jeżeli nagle wieść jakaś doleci i powie o siebie niezmarnowanej. Taką pociechę miałem już kilkakrotnie—no, i list czytany w tej chwili i teraz mi jej nie poskapił...

Doprawdy! trudno mi jest przyjść do równowagi umysłu. Rozpasany płas jesiennego wiatru, do ponurych usposobienia rozmyślań, ten zaś list krótki, dziekczynny, niezasłużenie dziekczynny—kłóci się z obowiązkiem kronikarza szeregowania faktów i wypadków dni bieżących...

Od czego zacząć?

Przyszedł mi na myśl znany wiersz poety:

Jakiś pan—piszą w gazecie—
Wczora się rozstał z tem ciałem...
O! dalibóg, nie wiedziałem,
Że on kiedyś żył na świecie...

Pomimo tej niewiedomości żywota takiego pana, dość, że był *panem*, gazety rozpisują się o nim szeroko, wielkie ogłoszenia, naznaczona krzyżem czarnym i czarną obwódką zwracają uwagę przechodzącego tłumu, z okrutną, żalobną pompą pójdzie pan taki na cmentarz, wspinały grobowiec mogiłę jego ozdobi, i...

Ludzie zapomną, świat zapomni, a żaden kwiat wonny po takim żywocie nie zakwitnie...

Lecz jeżeli o takich panach wspomina się, to wart szczerzego a gorącego wspomnienia ten, którego życie, było nie błyskotliwe wprawdzie, ale coś zaważyło na ogólnej szali ludzkości. Donoszą nam właśnie z Władysławowa, gub: suwalskiej o śmierci dr. Wincentego Kudyrka. Po długiej o ciężkiej chorobie umarł w sile wieku, bo w 41 roku życia, d. 16 Listopada.

Któż to był ten p. Wincenty Kudyrko?...

Posłuchajmy krótkiej o nim relacji.

„Urodzony d. 31 Grudnia 1858, jako dziecko zamożnego ludu litewskiego z góry przeznaczony był do stanu kapłańskiego i oddany do gimnazjum w Maryampolu. Po ukończeniu czterech klas, dwa lata spędził w seminarium w Sejnach, lecz nie czując powołania do stanu, do którego przeznaczyło go otoczenie, opuścił je, by iść dalej wyłącznie o własnych siłach. Od tej chwili, aż do ukończenia wydziału lekarskiego w Warszawie, życie jego było bezustannym borykaniem się z biedą, nieraz z głodem i nędzą i wtedy też pod wpływem nad wyraz ciężkich warunków bytu, powstały początki choroby piersiowej, która go przedwcześnie do grobu złożyła. Już jako lekarz osiadł między swym ludem, ciesząc się wielkiem wzięciem i zaufaniem, póki, w skutek ostatecznego wyczerpania, nie został zmuszony do zupełnego zarzucenia praktyki. W pracy jednak nie ustał, oddając cały swój czas i resztki sił literaturze litewskiej; pisać wiele i tłumaczyć przeważnie z polskiego. Ostatecznie złożył swą głowę w ziemię, którą ukochał i między tymi dla których poświęcił swe siły i pracę, pozostawiając po sobie żal i dobre wspomnienie, jako człowiek prawy, szlachetny, pełen pierwiastków idealnych i miłości“.

I oto w sile wieku ginie człowiek czynu, ginie, bo w latach młodości zużył siły swoje na walkę z biedą.

Czytając o takich wypadkach, a ileż to usuwa się z pod uwagi naszej, o iluż to zmarnowanych żywotach nie wiemy zgoła — po tysiąc razy zwracamy się do społeczeństwa, z którego łona tylko może wyjść ratunek zapobiegający rozbićcom podobnym.

Na wszystkich polach jednak powoli, bardzo powoli ludzie zaczynają się ruszać, praca i postęp są widoczne. Instytucje, o których od dawna marzono, powołane zostały do życia, a wraz z nimi i upust ofiarności ogólnej będzie prawdziwszy i cel wyraźniejszy.

Wspominaliśmy już o niepłonnej nadziei powstania Towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży, utworzoną też została kassa literacka, do której podniesienia przyłożyli czynną ręką niektórzy wydawcy warszawscy, zobowiązując się do rocznej, stałej opłaty pewnej sumy na korzyść tej sympatycznej instytucji; związane zaś niedawno *Towarzystwo artystyczne* ma szerokie bardzo zadanie, zakresloną przez ustawę.

Jaki cel jest Towarzystwa wedle brzemienia ustaw? Oto co czytamy w „Kur. Codziennym“.

„Celem Towarzystwa według ustawy jest: połączenie i zbliżenie artystów wszelkich gałęzi sztuk pięknych, dostarczenie artystom początkującym możliwości doskonalenia się w ich specjalności, współdziałanie w celach wzajemnej pomocy przez wydawanie swym członkom pożyczek i wsparć.“

Zakres więc jest obszerny—od prowadzenia teraz członków zależeć będzie dalszy rozwój pożytecznej instytucji, która dla sztuki naszej nie małą korzyść przynieść może i powinna. Wszędzie więc jest ruch, życie i dążenie do—względnej oczywiście—doskonałości.

Zastój jednak panuje w pewnej dziedzinie a nią jest—architektura.

Cokolwiekbyśmy mówilibyśmy o weryzmach, impresjonizmach i różnych innych *izmach* w malarstwie; cokolwiekbyśmy mówilibyśmy, o symbolizmach, dekadentyzmach w poezji—na obu tych polach jest ruch, życie, praca, szukanie dróg nowych, dążenie do ideału, w mgłach jeszcze pozostającego, ale z nadzieją odnowienia go, ze zmianieniem nieśmiertelnego piękna na czole. W jednej architekturze tylko jest sen i zesztywniałość kamienna.

Przypatrzmy się naszej Warszawie.

Nie masz w całej Europie miasta tak bardzo żrydlkiego pod względem architektonicznym. Jeżeli też gmach jak zwróci naszą uwagę, jeżeli choć na chwilę wzrok nasz na sobie zatrzymać zdoła—to możemy być z góry przekonani, że parę setek lat istnienia swojego liczy, że stawiali go ludzie nie dzisiejsi, nie dzisiejsi budowniczowie,

Z rozrostem jednak Warszawy znikają i te nieliczne zabytki dawnego budownictwa, powstają coraz to nowe gmachy, odpowiadające niby potrzebom obecnej cywilizacji—gmachy tak pozbawione wszelkiego kunsztu, artyzmu, że pod tym względem przynajmniej, dzisiejsza cywilizacja barbarzyńską wydać się musi.

Pod naszym okiem, w ciągu ostatnich lat paru dziesiątków, powstały nowe dzielnice, poprzerynane gęstą siatką nowych ulic, na których, nie setki ale tysiące domów o różnych wymiarach stanęło. Czy choć jeden z tych gmachów zaspokoił gust nasz estetyczny? Ozdobą miasta być mają: Politechnika, Filharmonja i Gmach Towarzystwa Zachęty Sz. Pięk.—ale to do przyszłości należy—zresztą czy one nie znikną w tłoku tysięcy ohydnych kamienic, jeżeli i nadal nie zdobędziemy się na poprawienie zła zakorzenionego?

Na ostatniem posiedzeniu delegacji architektonicznej przy sekcji technicznej Towarzystwa pop. ros. przemysłu i handlu p. Wacław Kloss, ażeby ożywić ruch pożądanym wśród budowniczych naszych, proponuje środki następujące:

„Przedewszystkiem należy ogłaszać stale, peryodycznie konkursy z nagrodami za najpiękniejsze budowle wzniesione w ciągu ostatnich kilku lat w obrębie Warszawy bez względu na rodzaj, rozmiary lub przeznaczenie budowli.

„Nagroda powinna składać się z dwóch części: kwoty pieniężnej i medalu, udzielanych właścicielowi gmachu i projektodawcy. Właściciel gmachu otrzymuje nagrodę pod warunkiem, iż na budowlę nagrodzonej, umieści tablicę z nazwiskiem twórcy planów, tudzież rok, w którym nagroda przypadła budowli w udziale.“

A pieniądze?

P. Kloss obowiązek ten wkłada na miasto.

I słusznie!

Czyż nie ono dbać powinno o swoją szatę zewnętrzną? czy ta piękność stroju nie bywa częstokroć dostateczną pobudką do wycieczek turystycznych mieszkańców ziem i państw oddalonych? Czem Warszawa może cudzoziemca przynęcić, jakim powabem zatrzymać i zapisać się w pamięci jego? Wypadkiem tylko pojawiają się turyści w Warszawie, z zimną obojętnością przejeżdżają przez jej równe, monotonne ulice... a jeśli we wspomnieniach swoich zostawią pamięć, o tym grodzie nadwiślańskim—to...

Czy mam dokończyć?

To z powodu wdzięku, jakim odznaczają się—Warszawianki.

??

Piotr Gmielewski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

XII.

Aleksander Tyszyński.

Młodszy o lat kilka od Grabowskiego, zamiłowany w ponurych obrazach, myślą bardzo wcześnie zatapiający się w najskrytszą głęb wszechbytu, *Aleksander Tyszyński* (1811†1879) w 25 roku życia napisał, a w 27-ym wydał dziwną książkę, mieszaninę romansu i rozpraw, p. t. „Amerykanka w Polsce“ (2 tomy, 1837, Petersburg). Amatorowi romansu pozwalał on wypuszczać

przy czytaniu rozdziały poświęcone religii, historii oświecenia, językowi i literaturze polskiej, stanowiące większą część książki, ale krytyk żleby zrobił, gdyby z tego pozwolenia korzystać zechciał. Do wyrobienia sobie pojęcia o poglądach autora zarówno potrzebna część romansowa, jak i dydaktyczna. Dwudziesto-pięcioletni młodzieniec był fatalistą, a jednak godził tę doktrynę z nauką kościoła katolickiego którą szczerze, choć, bez fanatyzmu, wyznawał, i bynajmniej nie czuł się zahamowanym w swojej energii, wcale się w biernym poddaniu, w biernej rezygnacji nie pograżał. Czuł tedy w sobie silnie odrębną indywidualność i przyznawał ją innym, praw jej bronił. „Było-li w ciągu wieków — pytał ustami swego bohatera — lice podobne mojemu, podobny mojemu umysł? Ja myślę *pierwiastkowo* (tj. oryginalnie) i nie był żaden przedemną, któryby równie myślał. Gdy biorę pióro do ręki, sam dziwię się jego biegowi; nowe obrazy kreśli, nowe pomysły wciela, i jeśli w ciągu swoim postawi kiedy myśl obcą, to chyba jak jeden utwór przypadkowego natchnienia. Ja lubię natchnienia obce; nieraz myśl jego podoba się mocno sercu, i pragnę ją wcielić we własne; pragnę, ale daremnie; ściska się ona, wypiera, nie może upatrzeć miejsca i wreszcie, jakby innego wychowania córka, opuszcza swe towarzyszkę.“

Poezyę lubił ogniste, lecz i filozofia także; podobały mu się w poezji myśli filozoficzne, ale nie żądał bynajmniej, by poeta koniecznie podawał nowe, nigdy przedtem nieznanne temata—i w tem się stanowczo wyróżnił od Grabowskiego, ceniącego przedewszystkiem siłę twórczą, „kreacyjną.“ Tyszyński sądził, że obrobienie w poezji ma doniosłość ważniejszą od pomysłu, od inwencji; tak swój pogląd uzasadniając: „Znakomitsze epopeje rycerskie wszystkie prawie są naśladowaniem Iliady. Mnóstwo było we Włoszech poematów o Orlandzie, nim Aryost wydał swojego. Komedyje Terencyusza i Plauta, w ogóle swoim, są żywcem komedye greckie. Treść bajek Lafontaine'a wszystka prawie z Ezopa i Fedra. Przedmioty dram wielkich Szekspira—brane lub ze sztuk obcych, albo z powieści włoskich; hiszpańskich, angielskich. To jednak wszystko jest *żadnem* (!) w porównaniu z piórem poety, bo w poezji *raczej szczegół, niż ogół uderza*, raczej opowiadanie niżli przedmiot jego.“ Prawdę względna zanadto zaakcentował Tyszyński i okazywał się zbyt pobłażliwym dla poetów, u których forma była gładka, potoczysta, lub też których styl obfitywał w przenośnie i porównania. Stąd pochodziło przecenienie wartości takich pisarzy, jak Książnin, Odynieć, Maurycy Gosławski. Od stylu, języka i wiersza wymagał Tyszyński dużo, niezawsze trafnie umiając wyrazić swe żądania. Tak np. powiedział: „Wszelki pomysł wyższy nad pospolite znajome oku obrazy i jego widoma szata ze słów mowy ludzkiej związana, od potocznych języka wyrażań daleka, budują ludzkiemu oku tę półmysłową, półumysłową całość, którą poezją zwiemy... Im dalej myśl utworzona uniosła wyobraźnię z pospolitego uczuć i wyobrażeń koła, im bardziej szata, która ją wydaje, odległa jest od prozy potocznych wyrażań; tem owa myśl, owo jej wydanie poetyczniejsemu być muszą. Ich niepowszedniość, ich układ dają nam poetyczną budowę. Ze słów tych możnaby było przypuszczać, że młody krytyk lubując się tylko we wzniosłości, nie potrafi odczuć poezji prostoty, gardzić będzie obrazkami życia powszedniego, zechce lekceważyć wesołość, komizm. Przypuszczenie okazałoby się zupełnie fałszywem. W rozbiórce poetów, zarówno dawnych jak i nowszych, Tyszyński okazuje się bardzo wszechstronnym, ceni wzniosłość i polot, lecz wielbi także prostotę i naturalność Szymonowicza, Zimorowicza, Książnina; uznaje zasługi Zabłockiego, Bogusławskiego, Kamińskiego, Niemcewicza w dziedzinie komedjopisarstwa, gani zaś i potępia wszelką przesadę i namiętność. Nie umiał tylko jeszcze wówczas zawrzeć w ogólnem określeniu różnorodności przejawów natchnienia poetyckiego.

— Ja spowiadam się przed panią, a pani...

— Nie pojmuje ani słowa z tego, co powiedziałem: tak?—czy to miałam usłyszeć?—przerwała Nuna.

Zmieształ się cokolwiek.

— Bezdusznna lalka to dobry powiernik: nie rozumiejąc, nie robi przynajmniej fałszywej plotki; może pan skarżyć się przed nią, jak przed sobą samym, jeżeli to sprawia mu ulgę—dodała z goryczą.

Wlepił w nią blado turkusowe, błyszczące teraz swe oczy.

— Pani gniewa się na mnie?—spytał miękko z akcentem pokory w głosie.

— Nie, przebaczam wszystko ludziom *na pół przytomnym*... odpowiedziała, wyciągając doń rękę.

Przytrzymał ją długo, uściśnął mocno; chciał coś powiedzieć; usta, mu drżały, jak gdyby zawisło na nich gorące jakieś, serdeczne wyznanie, w milczeniu jednak odszedł.

Ona powiodła za nim wzrokiem, dopóki nie zniknął na skrócie małej uliczki za węglem chaty rybackiej.

— Dziwny człowiek! — powtórzyła kilkakrotnie, po chwili zaś spytała sama siebie:

— Co ciągnie mię do niego jednak z taką nieprzepartą siłą, że, gdyby wyjechał teraz nagle, jak zapowiada, zdaje mi się, iż pierwszy raz w życiu płakałabym z żalu? Co sprawia, że, ilekroć przystąpi do mnie, serce bije mi, jak młotem i krew albo spływa z twarzy, albo zalewa ją gorącym strumieniem? Dziwne, dziwne to wszystko!

Przypominając sobie ranne spotkanie i objaśniając w myśli przeprowadzoną rozmowę, zwiśła głowę na piersi i wpadła w głęboką zadumę.

Słońce zaczęło zbiegać już ku zachodowi, gdy obudziła się z niej i szybko wyszła z ogrodu. Niebo powlokło za nią leniwe spojrzenie wyblakłego turkusowego i patrzyło nadal w morze, wiatrem pędzone ku podnóżom skał dolomitowych. Wielka gloria słoneczna, kołysząc się na różowo-ametystowych obłokach, ukośnym promieniem lizała czubki fal, podmywających wybrzeże. Rąbki chmur zaczęły przeświecać kryształowo—miedzianym połyskiem, gdy od wschodu, jak puch biały, wypłynął księżyc. Od południa błysnęła pierwsza gwiazda; za nią, krepą mgławicą przysłonięta, mrugnęły inne.

Cień smutnego zmierzchu powiał od nich.

Nuna nie widziała ani gry barw na zachodzie, ani powolnego wstawania gwiazd i księżyca.

Niebo iskrzyło się jeszcze różem, kryształami i ametystami, gdy, przebiegłszy kilka ciasných uliczek wyspy, cicho, na palcach przestępowała próg pracowni.

W całym domu nie było nikogo: zdawało się, iż naraz wymarli tam wszyscy.

Przez drzwi otwarte bez żadnego wysiłku dostała się do środka wysokiego, jak kościół, pokoju. Serce zabiło jej, gdy w pół mroku przysłoniętych górnych okien dostrzegła nagle Nordena.

Z głową, w dłoniach ukrytą, siedział przed niewielkim, na sztalugach rozstawionym obrazem. Nie słyszał widocznie szelestu jej kroków, nie odwrócił się bowiem i nie wstał z miejsca. Głuche westchnienie wyrывało mu się z piersi od czasu do czasu: musiała dręczyć go jakaś troska, jakiś ból dokuczliwy; co?—trudno było odgadnąć.

Jaskrawa smuga zachodzącego słońca oświeciła obraz. Nuna spojrzała na niego i drgnęła.

Przed oczami swemi miała najwyraźniej ten sam bezmiar światłem księżycowym zalanej przestrzeni z krzyżem pośrodku i białym cieniem w górze, który przesładował ją niegdyś w majaczeniach gorączki.

Czyżby Norden z mózgu jej wyjął to chorobliwe widziadło?

Z zapartym oddechem wpatrzyła się w płótno.

Wiała z niego noc mglista. Przez białe opary przeświecał księżyc, wychylony z za chmur, rzucając martwy blask na szeroką płaszczyznę, z mogiłą i krzyżem pośrodku. Do krzyża przybity był Chrystus. Dwie smugi opalowe były z zapadłych jego oczów aż ku nie-

bu samemu. Śladem ich w przestworza mknął cień biały, z kielicha lilii nad mogiłą wychylony, przezroczysty niemal w tym blasku opalowym, po którym biegł w nieskończoność.

Ten cień... to była ona. Z rękami, jak do modlitwy złożonemi, z rozwianemi lekko włosami, w zwojach gazy jakżeż niepodobną była do tej, którą widziała w lustrze przed godziną!

Coś nadmysłowego było z jej twarzy, ze smutnych, jakby czarną krepą przysłoniętych oczów. Była duchem, ona, która... nie miała duszy...

Przeszedł ją dreszcz dziwny; uczuła nagle trwogę.

Czego się bała? — sama nie wiedziała, oddech zamierał jej jednak w piersiach i krew stygła w żyłach.

Nagle ktoś jakby szeptem wymówił imię. Spojrzała dokoła.

W pokoju, prócz Nordena, nie było nikogo, a on siedział nieruchomy, jak przedtem; lekkie westchnienie tylko wydarło mu się z piersi: powtórzyły je echem puste ściany pracowni.

Wtem odjął ręce od twarzy, podniósł głowę i spojrzał w obraz.

Nuna, chwając się, bez tchu prawie stanęła za nim. Serce jej biło; krew spłynęła z twarzy.

— Co powiem, jeżeli on mię spostrzeże? Czem usprawiedliwię przyjście swoje? — myślała, patrząc na rozstawione płótno.

Czuła, iż wzrok jej biegnie za jego wzrokiem, jak igła kompasu za drganiem świetlnych promieni i może dlatego nie miała siły cofnąć się. Coś przykuwało ją do miejsca; obraz rósł, olbrzymiał w jej oczach, budząc coraz większy podziw i trwogę.

Stała wobec cudu. Jak wytłomaczyć to niepojęte skojarzenie się jej chorobliwego widziadła z pomysłem Nordena? Czyż by przeoczł metamorfozę zachodzącą w jej duszy.

Życie wydawało się takie proste, tak łatwo pochwytnie i zrozumiałe, gdy tymczasem odsłaniało świat zjawisk, których niepodobna było ogarnąć i wytłomaczyć ciasną ziemską myślą. Czy wnuknie w nie kiedy i pojmie ich istotę?

Norden wstał. W milczeniu, nie oglądając się za siebie, odstawił sztalugi z płótnem w głąb pracowni.

Przez chwilę błysnęła jej myśl, żeby przystąpić do niego, przebłagać za śmiałość, z jaką tu weszła i wyznać wrażenie, jakie wywarł na niej jego obraz; zlekka się jednak: może zgromi ją, może nie przebaczy postępkowi tego nigdy?

Słowa zamarły jej w krtani. Zataczając się, jak pijana, wyszła z pracowni.

W ogrodzie wydało się jej naraz, że ktoś biegnie za nią i woła znowu najwyraźniej:

— Nuna, Nuna!

Nie miała wszakże odwagi odwrócić się i spojrzeć za siebie.

Minawszy ogrodzenie murowanej willi Nordena, odetchnęła dopiero.

Za węglem wysokiego parkanu uderzył ją zapach skoszonej trawy.

Wciągnęła go pełną piersią. Wydał się jej dziwnie aromatyczny, słodki, słodszy od woni perfum, któremi oblewała się codziennie.

— Nie wiedziałam, że skoszona trawa pachnie tak pięknie! — pomyślała, siadając pod niskim stogiem, zwrócona twarzą ku morzu.

Słońce zniknęło przed chwilą właśnie. Na niebie od zachodu rozpoczęła się gonitwa wiatrem pędzonych obłoków. Jedne z nich, świetliste, białe, wąską linią rozłożyły się na widnokręgu, zmieniając co chwila kształty, przybierając coraz to inne odcienie barw. Oko odkrywało w nich bądź olbrzymie morskie potwory, bądź płazy i glazy ładu, bądź ryby wód słodkich, lśniące srebrną łuską.

Inne kłębiły się, rosły w grupę alegorycznych postaci, podobne do barokowych apotecz, na które pada blask sztucznych ogni.

Na miejscu, gdzie przed chwilą była tarcza słoneczna, a gdzie teraz piał się ku górze wielki słup purpury, nadpłynął popielaty obłok w kształ-

cie drobnej twarzy kobiecej o profilu kamei. Usta jej zasłaniał wachlarz z piór różowych; włosy tonęły w zwojach ametystowej krepy. Zakolysała się na słupie purpury, zajaśniała krwawym blaskiem, gdy tymczasem przyszedł wiatr i rozwał kontury głowy, a później wachlarz z piór, wreszcie bujne włosy. Zniknęła drobna twarzyczka, zniknęła smuga czerwieni; niebo przybierało z wolna koloryt jednolitego turkusa, a potem bladej perły, aż wreszcie pokryło się całe popielatymi chmurami, wróżącymi słotne jutro.

Wyjrzał księżyc, zapłakany, w szarej czapce; mrugnęły gdzieniegdzie, jak przez gęste sito, blade gwiazdy.

Nuna nie patrzyła ani na niebo, ani na morze. Zajęta jakąś poczynającą się pracą myśli swoich, kreśliła końcem parasolki kilka upartych zygzaków na skoszonej łące. Przerywając mechaniczną tę robotę chwilami, zasłaniała dłońmi oczy i siedziała tak czas dłuższy bez ruchu.

Pod powiekami jej, jak zaklęty, majaczył obraz Nordena. Pamiętała najdokładniej każdy jego szczegół. Mówił do niej, wibrował w każdej fibrze mózgu, budząc ten prąd magnetyczny, jakim elektryzowały ją słowa; spojrzenia wielkiego malarza.

Gdy, uczuwszy nagle chłód wieczornych oparów, wstała, by przez kilka wąskich uliczek wrócić do domu, zdawało się jej, że obraz poruszył się wraz z nią i płynie za nią.

Co to znaczyło? Czy nie była chora i nie gorączkuje, jak wówczas, gdy po raz pierwszy miała widzenie.

Z twarzą palającą stanęła przed domem.

W ogrodzie nie zastała nikogo: wszyscy mieszkający willi wyruszyli na wycieczkę.

— To dobrze—szepnęła—nie zniósłabym dziś gwaru i towarzystwa ludzkiego.

Znalazłszy się u siebie, zamknęła drzwi na klucz, padła na kanapę i ukryła głowę w miękkiej jedwabnej poduszce.

Doznawała wciąż wrażenia, jak gdyby ktoś stał za nią, czy przed nią.

To cień z obrazu, uduchowiony jej sobowtór, błdził tak dokoła niej ustawicznie: widziała go najwyraźniej.

Co to znaczyło? Co się z nią działo?

Drżąc całym ciałem, zmrużyła oczy i w spokoju przeleżała do późnego wieczora.

Ojciec kilka razy sztukał do niej: nie otwierała. Nie wezwwała Fanny, jak zwykle, do pomocy przy rozbieraniu.

Zegar wydzwonił północ, gdy w sukni spacerowej, w której wróciła przed paroma godzinami z tajemniczej swej wycieczki, zasnęła.

Śniło się jej, że wchodzi na wysoką górę, z której opada wciąż na zręby skały, kalecząc sobie nogi i ręce.

Jęczała przez sen i wdychała ciężko. Po pewnym czasie dopiero z mglistych majaczeń wyłoniła się jakaś zakwefiona postać, która ją wprowadziła na szeroki widny gościniec. Nie widziała twarzy, czuła jednak, że to był Norden; napęlił ją wielki spokój.

Przestała jęczyć; zasnęła mocno i już bez majaczeń. Gdy wstała nad ranem, by rozebrać się z niewygodnej sukni i przejść na łóżko, trwoga i niepokój wróciły. Jakiś, ciężki, dławiący smutek padł na piersi.

Stała w obec jednej z wielu zagadek życiowych, które rozwiązać było niepodobniestwem. Co jej ona przyniesie? Czy nie nową marę szczęścia, która rozplynie się w jej oczach.

(Dalszy ciąg nastąpi)

TEATR.

„Karykatury”. Studium sceniczne w 4-ach aktach
przez Jana Augusta Kisielewskiego.

Jakkolwiek konkurs imienia Padarewskiego odbył się w Warszawie, sztuki, na tym konkursie nagrodzone, nie na warszawskiej najpierw pojawiły się scenie.

Jakkolwiek tak być nie powinno ale tak jest zawsze. Nie tylko zresztą starożytny Kraków przoduje, co mu może z wieku i urzędu się należy; ale nowożytna Łódź nawet zaopatruje swój repertuar w dzieła od dawna cieszące się powodzeniem za granicą, dopiero jak maruder wlecze się z Łodzią Warszawą. Tak było z „Dziką kaczką”, tak było z „Bergerakiem”, tak jest z „Romantycznymi” Rostanda, tak się też działo i z konkursowymi sztukami. „Zaczarowane koło” widzieliśmy w Krakowie, „Karykatury” widzieliśmy w Krakowie, wiemy, co lepiej do gustu tamtejszej publiczności przypadło, nieobce nam były zapatrywania się krytyków grodu podwawelskiego na te pierwociny talentów młodych, tak, że mniej więcej mogliśmy sobie wyrobić pojęcie o tych dwóch dziełach konkursowych, przysposobić się życzliwie lub mniej życzliwie do ich przyjęcia, poddać się pewnym wpływom sądów wypowiedzianych przez krytyków krakowskich i — zachwycić się „Zaczarowanym kołem”, a z wyrozumiałością pobłażliwością „Karykatury” przyjąć.

W czasie właściwym wypowiedziałem zdanie moje o „Zaczarowanym kole” w znacznej mierze różniące się ze zdaniem innych sprawozdawców, obecnie przychodzi mi pisać o „Karykaturach”, dziele, które aczkolwiek nie przyczynia się do wzbogacenia skarbcza dramaturgii naszej, lecz którego porami wszystkimi wyłazi — że się tak dosadnie wyrażę — niepospolity talent sceniczny.

To też komitet konkursowy, nagradzając sztukę p. Kisielewskiego, nie nagradzał jej, jako arcydzieło *sceniczne*, lecz jako utwór pisarza, poraz pierwszy próbującego sił swoich na polu dramatycznym, pisarza, który, z młodzieńczym zapałem wziął się do pracy i z okrutnym rozmachem ją wykonał. Przypuszczenie sędziów konkursowych sprawdziło się: autorem nagrodzonej sztuki okazał się dwudziestoparoletni młodzieniec, uczeń akademii krakowskiej; który przed dwoma laty zwrócił uwagę sędziów konkursu „Kurjera Warszawskiego” sztuką swoją p. n.: „W sieci”, która zaszczytną otrzymała wzmiankę — obecnie zaś, jako laureat występuje przed nami.

W czym dostrzegliśmy lwi pazur talentu? Co publiczności kazało dlonie do szczyrego oklasku złożyć? Z „Zaczarowanym kołem” niełatwo było „Karykaturę” się zmierzyć; tam nie brakło żadnego z efektów, któreby do wszystkich niemal zmysłów nie przemawiały; usuńmy fabułę, zostawmy obrazy tylko — a z rozkoszą wzrok błądzić będzie po lesie zaczarowanym, nasycić się purpurą nieba o słońca zachodzie, przypatrywać się z zajęciem zmierzchom powolnym, by potem napoić się srebrzystym blaskami księżycy, oblewając się nagie nimf wodnych ramiona. Jezioro, głąb leśna, nimfy kołyszące się na falach drgających lekko, ubrane w kwiaty i zioła, mimowoli poruszają zmysł drugi — powonienia... i pocujemy zapach tych ziół i kwiatów, zapach wilgoci leśnej i fal i krzewów. Wszystko się z sobą łączy i kojarzy, staje się dopełnieniem obrazu, który sam w sobie jest piękny i zająć nas może. A cóż gdy odezwą się śpiewy mieszkanki podwodnych, gdy dzwony miast zatopionych wód spokoju zamącą, gdy fale się silnie rozkołyszą, zmieszają się głosy i dźwięki — ot i jesteśmy przeniesieni do jakiejś zaczarowanej krainy, mało nas już obchodzą czyny ludzkie, które w omawianej przez nas w tej chwili sztuce, są tylko *dopełnieniem* obrazu.

Czarodziejstwo wystawy jednak nie na tem się kończy. Jak w każdej bajce tak i w tej nie

mogło się obejść bez skarbów gorejących, bez upiórów z grobów powstających, bez płasów dyabelskich na skrzydłach wiatraka — dodajmy do tego poetyczny, piękny język, muzykę rytmów i rytmu harmonię — kto będzie śledził za logicznym biegiem wypadków, czyją zwróci uwagę bajka niezdarnie zlepią, ubóstwo sprężyn poruszających całym aparatem tragedii, końcowy morał sztuki... z korzyścią moralną diabła?... Teraz pytanie: Jak walczyć z takim czarodziejstwem „Zaczarowanego koła” skromnym „Karykaturą” które nie tylko są pozbawione lasów czarodziejskich, jezior oświetlonych księżycem, nimf, rozkoszujących się fal miękkim uściskiem, pieśni i jęku dzwonów — ale pisane są najzwyklejszą, codzienną prozą, i nie tą prozą nawet, jaką posługują się salony — lecz, prozą wziętą z suteryn, nie mogącą dostatecznie ani uczuć duszy cierpiącej wyrazić; ani wylać się w potoku słów, w których i śmiech zadzwoni i radość i ból i cierpienie. W „Karykaturach” wzroku naszego nie zajmą obrazy z latarni czarodziejskiej, na krótką chwilę nawet nie z tych efektów scenicznych myśli nie rozproszy — jesteśmy zmuszeni wciąż za biegiem iść akcji, kontrolować każdy wypadek, wcielać się niemal w bohaterów widzianej sztuki. Mimo to jednak, coś nas pociąga i przywiązuje do tych ludzi tak bardzo codziennych, tak bardzo zwyczajnych; nie obchodzą nas nie dekoracje, nawet przebieg wypadków interesować nie może, tak jest prosty, bez powikłań, bez niespodzianek żadnych.

— Cóż więc to jest? — zapyta czytelnik.

— Tajemnica talentu — nie nadto. Autor wziął kawałek, nieciekawym nawet, życia ludzkiego — i pokazał go nam; wziął duszę ludzką, szamotającą się z własnymi pragnieniami, przez najprostszy wypadek, zostającą w sprzeczności sama z sobą i postawił przed nami bez żadnego oświeślenia sztucznego, przykuł prawdą, zwyciężył prawdą — i oto największy tryumf. Bo mylą się ci, którzy twierdzą, że bardzo łatwo jest prawdę przedstawić; mylą się, sądząc, że nie jest trudnością żadną pana Pafnucę czy Onufrego pokazać w szlafroku albo własnym gabinecie — zapominają tylko, że w tym szlafroku jest człowiek, a w tym człowieku jest dusza, a dusza, Pafnucęgo nawet, moc kryje zagadek w sobie. Mając jej obraz, można niewłaściwe barwy jej nadać — i zdarzyć się często może, jak się zresztą zdarza, że Pafnucemu dajemy Onufrego duszę.

Autor „Karykatur” podobnej nie uczynił zamiany, tam każda postać własnym drga życiem, nie użył sztuczek żadnych, rozbrał nawet wziął z językiem literackim, boć nawet i garderobiany dyszkant oglądać można — mimo to przykuł uwagę widzów do dzieła swojego, i uniknął surowego sądu, goniących najczęściej w piętę, przygodnych krytyków naszych.

„Karykatury”, nie są arcydziełem, nie wzbogacają nawet, jak rzekłem skarbcza dramatycznej literatury naszej, są jednak dziełem dużego, oryginalnego talentu, w którego przyszłość zupełne prawo mamy ufać.

Przykre na mnie zrobiła wrażenie wieść doszła z Krakowa, że ostatni utwór p. Kisielewskiego grany na tamtej scenie p. n. „Sonata”, jest naśladownictwem, tak zwanej szkoły nowej i naśladownictwem słabym. Talent p. Kisielewskiego, powinien sam sobie drogę torować, a zdaje mi się, że ku temu ma siłę.

Co autor „Karykaturami” nazywa?

Raz jeden tylko w sztuce przez usta Relskiego, któremu zaciężył stosunek z Zośką, mówi: że miłość podobna jest karykaturą miłości. Ale nie tylko nią jest miłość, w której prócz stosunku fizycznego nie wspólne dusza bohatera nie ma, lecz i życie całe i świat, w którym główny bohater obracać się musi i bezsilność szamotać się ludzkich, wobec praw świata, honoru i sumienia.

Antoni Relski, student krakowskiego uniwersytetu, należy do młodzieńców pełnych nadziei, w którym wielkość przyszłą widzą koledzy, który sam zresztą z tornistrem żołnierskim marszałkowską laskę nosi, drukując tymczasem sonety nakładem własnym i podbijając niemi serduszka panięńskie.

Akt pierwszy sztuki rozpoczyna się w studenckim mieszkaniu tegoż Relskiego. Podczas nieobecności gospodarza zebrało się u niego grono kolegów, prowadząc gwarłą rozmowę w przedsiionku gdzieś jeszcze rozpoczętą. Każdy z nich na swój sposób chce świat zbawić, ale ostatecznym wynikiem wszystkiego jest kobieta, której hołdowano zawsze, ale której „modernizm” najwonnejsze kadzidło pali.

Bohater sztuki nie zaznał tylko dotąd kobiety, na jego to przybycie czekają koledzy — i powraca, ale oszalała miłością; przez jedną zakochany we wszystkich kobietach. Dziś się dopiero narodził w nim mężczyzna, dziś dopiero w pieśni jego odezwiała się drzemiąca arfa życia, teraz za dotknięciem jej strun złotych stworzy pieśń najpiękniejszą, jaką młodość i siła wydać mogą... Tej przemiany w duszy Relskiego dokonała Stefania Borkowska, maturzystka i jego uczennica. I roi sny cudne i marząc o niej mówi: „Pragnę, pożądam wpleść dlonie w te płuwy łoki, na ustach zawisnąć i pić rozkosz — pić, pić...” i ani się spodziewa, że tuż za nim ukrywa się karykaturalna twarz życia, która, nie wygórowane wcale, dostępne pożądanie — niemiłosierną ręką ślepego przypadku na zawsze od niego usunie.

Oto, gdy Relski pozostał sam, wbiega do jego izdebki Zośka przerażona, wbiega z wahaniem się i trwogą, bo gdy jeszcze Antos, uczniem będąc, u rodziców jej mieszkał, ona pokochała Antosia i dotąd obraz wierny w dziewiczym swoim serduszku nosi. Ale oto uciekła z domu matczynego, bo ojczym pijanica chciał ją wydać za niemiłowanego, a gdy się oparła jego woli zbił ją i do uległości przymusza — więc uciekła i dwa dni błądziła po mieście o chłodzie i głodzie i umrze na progu Antosia, ale już do domu nie powróci, nie powróci za wszystkie skarby świata.

Jak tu wygnać dziewczę bezbronne, kwilące do tego na nutę miłosną? W sercu Antosia rodzi się naturalne uczucie litości, przygarnia ją, otula, ogrzewa, ogrzewa opiekunческими ramionami i kawą z arakiem, ale to wszystko do lubego obłędu prowadzi i nieświadomości czynów.

I oto rozpoczyna się karykatura życia i karykatura miłości. Nędza wciska się do mieszkania przygodnych małżonków, proza życia w całej nagości staje przed bohaterem przyszłości, walka o chleb powszedni nie pozwala wytrzymać egzaminu, przy którym pada — a tu w kolebce dziecko kwili, nie mające patentu należenia do dobrze uorganizowanej i mającej w porządku swoją metrykę ślubną społeczności. Otoczenie, w jakim teraz obraca się Relski, — bo kto u niego bywa, z kim może mieć stosunki? — zabija go. Taki Migdał lub taka Walentowa denerwują, człowieka o aspiracjach wyższych — błoto kapie z uszu, z ust leje się — odzywa się do Zośki — która choć umysłem nie dorosła do Antosia, oddaniem się mu zupełnem, zaparcie się wszystkiego tylko dla szczęścia Antosia — podbija nasze serce i po jej stronie niepodzielnie stoimy. Relski cierpi męki Tantala — bo umysł jego rwie się do świata, serce do Stefy — nieraz obraża Zośkę słowem brutalnym, ruchem znamionującym najwyższą niechęć ku niej; ale jak tu jej drzwi wskazać, gdy, ona, nierozumiejąc przyczyny tej niechęci, pragnie ją uściskiem usunąć, łagodnością pokonać, uległa zawsze, kochająca zawsze bez słowa skargi na ustach, bez najlżejszej wymówki znosząca „kaprysy” swego tyrana? I oto dramat najwyższy w zetknięciu się tych dwóch natur szlachetnych, połączonych przypadkiem, rozdzielonych nieubłaganą logiką życia.

Niedosł tego naturalnego rozdziału pożądań, pragnień i zakresu czynów wybiegających z jednej strony za ramę ciasnego obrazu, z drugiej, aż nadto w tej ciasnocie mieszczonego się — wzmogła się miłość Antosia do Stefy, w psychologicznej chwili nastąpiło wyznanie zobowiązania — zerwanie ze strony Relskiego. Wraca do swojej komórki na poddaszu i spostrzega Zosię śpiącą na ziemi u kolebki dziecka, targaną przeżuciem zbliżającego się nieszczęścia. „Czego chcesz odemnie — mówi zrozpaczony Relski, — jutro pójdziemy do kościoła, weźmiemy ślub...”

a gdy okrzyk radości z ust Zośki wybiega—dodaje: „ale za progiem kościoła w łeb sobie palnę!”—Zosia nie dostaje obłędu, tłumi łzy, ból, widzi już tylko jaśniej, niż kiedy, że jest kulą u nóg Antosia, przeszkodą do pracy, że przez nią przy egzaminie padł. Usunąć się więc musi—i—bez wymówki żadnej, mówi, że wróci do matki, a on niech choć czasami dowie się do niej, czasami tylko. I jak tu takie serce zabić, jak nie cofnąć słów nieogłędnie wyrzuconych?

Ale katastrofa się zbliża.

Relski był u Stefy, wydobył z ust jej wyznanie—przerażony postępkami własnym—umknął. Stefa—to umknięcie inaczej rozumie: Relski jest biedny ona zamożną panną—Relski nie wierzy w zgodę na ten związek rodziców Stefani. Zmusza więc ojca, by udał się zaraz do mieszkania Relskiego i zgodę swoją objawił. Stary Borkowski wypełnia wolę córki,—i zjawia się na poddaszu u Antoniego. Ciemno. Relski nie chce zapalić lampy. Kilka słów rzuconych przez Borkowskiego wyjaśnia Zośce straszną tajemnicę. Ukryta przy piecu wydaje krzyk—Borkowski zapala świecę—widzi ją, kołyskę... pomieszanie Relskiego—„Podły,” wypada z jego ust i wychodzi...

Dopiero teraz budzi się w Zośce znieważona godność kobiety. Ona, łagodna, uległa rzuca się jak lwica do oczu Antosia. „Więc—chcesz mnie rzucić—ażebym mieć inną?...”

Tej zniewagi nie zniesie.

— Dziecko jest moje—odzywa się, wzięwszy skarb swój z kolebki—od pana niepotrzebuję ani centa... Tu wszystko panowie. Niech ci Bóg tego nie zapomni!..

I tu wszystko jest psychologiczne, dodamy ze swojej strony—i to poświęcenie się Zośki, i ta jej uległość i to usunięcie się bierne, gdy jeszcze nic o miłości Antosia nie wie i to zdobycie się na okrzyk gniewu i oburzenia, gdy inna kobieta ma miejsce jej zając, i nie zatrzymanie uchodzącej przez Antosia, któremu wyraz „podły” w twarz rzucony, brzmiał teraz głośniejsz, niż rozdzierający jęk zbolełego serca Zosi.

Nie będziemy tu podnosić słabych i bardzo słabych nawet stron utworu—tyczą się one figur i scen podrzędnych. Nam szło jedynie o główną nić dramatu, skreślonego śmiało, dającego miarę niepospolitego talentu autora, który najprostszymi środkami, bez jaskrawych efektów scenicznych, dekoracji wspaniałych, tłoletów misternych—potrafił przykuć uwagę widza i zyskać poklask zasłużony.

Kazimierz Gliński.

NAPOMNIENIE.

(Dokończenie).

Poganiacz krzyknął na osła, ten podreptał raz niej. Droga stawała się coraz bardziej spadzistą, a mrok tak gęstniał, że nic a nic nie można było widzieć. Tylko w górze ukazywał się malutki skrawek nieba, zaszypanego gwiazdami. W lesie panowała cisza. Joel wstrząsnął się; poczyniło być chłodno. Założył ręce na piersiach i pochylił głowę naprzód, śledząc ciemności. I dziwił się, jakim sposobem poganiacz nie błądzi, ale z taką pewnością zwierzę przed sobą pędzi. W głębi lasu odezwało się wołanie jakiegoś ptaka, czy zwierza, bo trudno było odróżnić Joelowi, który prawie nigdy nie obcował z przyrodą. Znowu począł go nękać strach i pragnął dobrze usposobić posługacza, by go chętniej strzegł w razie potrzeby. Rzekł tedy do niego:

— Abyś poznał moją nadzwyczajną dobroć, daruję ci i tym razem karę. Ale powiedz, jakim sposobem trafiasz, jakim sposobem nie zbłąkasz się, jakim sposobem nie obawiasz się, człowieku, w tak strasnej ciemnicy i w takim bezludziu isć, służyć mi i być jeszcze duszy swobodnej?

— Nauczyciel nie kazał się bać niczego i nikogo.

— Jakto, nie kazał się bać nikogo?

— Tak, panie, nikogo.

— Ani panów swych?

— Tak, panie, ani panów.

— Więc nie boisz się mnie?

— Nie, panie.

— Nienawidzisz mnie?

— Kocham cię, panie.

— Dlaczego mnie kochasz?

— Bo nauczyciel kazał miłować każdego, nawet i tych którzy nam krzywdę czynią. Kazał im odpłacać dobrem za złe.

Joel zastanowił się ostatnimi słowami poganiacza i doszedł do wniosku, że tym razem usłyszał rzecz wygodną dla siebie. Więc nauczyciel nie kazał się mścić. A pora do tego była właściwsza.

— Nie kazał nauczyciel podnosić ręki na panów swoich?

— Nie mówił, że na panów, tylko pouczał, że mścić się nie wolno.

— Więc mnie kochasz?

— Kocham cię, panie.

— To bardzo pięknie. Jeżeli kazał ci to ów nauczyciel, to chwałę go za to.

— Nauczyciel pytał o ciebie, panie.

— Tak? Pytał o mnie?

— I wymawiał onym dwóm uczniom, że ciebie przed jego oblicze nie przywiedli.

— Jakto? Mnie przywieść przed jego oblicze? To on do mnie powinien był zająć! Jesteś w mowie nieokrzestaniec!

— To też nauczyciel powiedział, że pójdziesz do ciebie, panie.

— A widzisz, żem cię słusznie strofował!

— Chce ci udzielić napomnienia.

— Truteń jesteś! Nie mógł tego powiedzieć, bo chyba jest za rozumny na to.

— Powiedział, panie. Wszyscy Peruszim dostaną napomnienie a także Synhedrion.

— Co? Jakie napomnienie?

— Dziwne bywają jego napomnienia...

Joel chwycił za cugle i powstrzymał osła. Zdumienie odjęło mu mowę. Nie miał pojęcia o podobnym zuchwalstwie.

Ale że w koło rozposcierała się leśna puszcza, pośpiesznie i od czasu do czasu odzywało się wołanie drapieżnego ptactwa, przeto nie rzekł nic, tylko skulił się na grzbiecie zwierzęcia i zaprzestał wszelkiej rozmowy.

Osiół potknął się raz i drugi, Poganiacz zatrzymał go i rzekł:

— Znijdź, panie, z grzbieta.

Joel nie usłuchał. Poganiacz rzekł powtórnie:

— Zsiądź panie i podążaj z mamną pieszo, bo zwierzę może paść i szkodę sobie wyrządzisz, gdy legniesz w ciemności na ścieżce.

Joel zsunął się z grzbieta zwierzęcia.

— Krocz za mną, panie, trzymając się blisko mnie. Zwierzę zaś podaży za tobą i nie pozostanie w tyle z obawy przed zwierzem leśnym.

Rozpoczęli tedy pieszą wędrówkę, sunąc spadzistą ścieżką. Joel utykał na kamieniach i korzeniach cedrów, podrapał sobie ręce o krzaki, sapał, pocił się i czuł się niezmiernie nieszczęśliwym. Przeklinał w duchu chętkę wycieczkowania nad Jordan—ze sługą niewypróbowanym; przeklinał tego sługę, że zamiast w porę stawić się przed nim, słuchał mowy jakiegoś szaleńca, przeklinał także tego szaleńca, który go tylu zmartwień nabawił. Nie zażył kąpieli, wszelką radość odjęło mu zuchwalstwo pasterza i hardość owych mędzów. Wreszcie owo przebieganie się piechotą przez las było nieznośne i nad wszelkie pojęcie przykre dla człowieka, który chadzał tylko po stolicy wśród rozstępujących się tłumów. Nie mógł zrozumieć, że to on, człowiek Synhedrionu, który przemawiał w świątyni do ludu i był powagą miasta, że to on teraz kroczy przez ciemny las, pieszo, podrapany, uznojony, zdany na opiekę niepewnego sługi, który w mowie wynosił się nad niego. Więc cmokał językiem, potykał się, kłął cicho, ale szedł.

Poganiacz nagle przystanął i rzekł:

— Nie widzę, panie, belki nad potokiem.

Zaczekaj tu na mnie, a ja udam się w górę rzeczki i odnalazłszy miejsce wrócę do ciebie.

Joel przeląkł się. Błysnęła mu myśl, że poganiacz chce go zdradzić; że chce usunąć się, aby go tymczasem zbójcy napadli, z którymi jest w zмовie. Ale bał się wyjawiać tego rodzaju podejrzenia. Stał tedy pod drzewem. Osiół zaś ruszył za poganiaczem, oskubując zębami liście z drzew lub ogryzając korę.

Poganiacz utonął w ciemności. Słychać było tylko przedzieranie się przez zarośla. Ale niebawem i to umilkło.

Pot spływał dużemi kroplami z czoła Joela. Oddychał ciężko a skronie biły mu gwałtownie.

Ogarniał go coraz większy strach. Wreszcie począł dzwonić zębami.

Zawołał kilkakrotnie poganiacza. Ale ten nie dawał odpowiedzi. Głos brzmiał w lesie tak dziwnie, że zaprzestał wołania. Z każdą chwilą było mu coraz straszniej w samotności.

W onym tedy lęku począł się modlić i szeptał w te słowa:

„Boże, który wywiodłeś lud twój z puszczy, wejrzyj na swego najlepszego sługę i wspomóż go...”

„Na najlepszego sługę, który nie pożyczka na lichwę, a jeżeli klnie to bardzo rzadko...”

„Który nie jest ani celnikiem, ani zbrodniarzem, ani chciwcem, ani bluźniercą, ani poganiaczem, ani pasterzem, ani rzeźnikiem, ani nie należy do pospólstwa...”

„Który jest członkiem Synhedrionu, przemawia do ludu, sądzi go i karze wedle Zakonu Twojego...”

„Który Ci miłym być musiał doświadczasz go...”

„Który jest Tobie oddany a wodziś go puszcza wśród zwierza leśnego i niepewnych ludzi...”

„Który Ci ofiarę złoży, a mianowicie gołębia jednego...”

„Panie... dwa gołębie... trzy, cztery...”

„Panie... koźlę każę Ci zarznąć i spalić...”

„Dwa koźlątka i jagnię... Czy niedosyć, Panie?...”

„Owce i barana, tylko wysłuchaj i rozjaśnij ciemności...”

„Panie: wołu Ci ofiaruję, całego wołu, własnego, nie wyludzonego u ludu, z własnej trzody... Panie, więcej nie mogę...”

I kiwał się i modlił i błagał a strach coraz większy przejmował go dreszczem i dygotaniem.

Nagle powiał wiatr i poruszył lasem. Rozległ się złowrogi tajemniczy szum. Joelowi zdało się, że w tym szumie odzywają się jakieś krzyki, jakieś szepty, brzęk mieczów i szcęk różnego oręża zbrojeckiego.

Padł na kolana, ukrył czoło w rękach. Wiatr obiegał puszcza leśną i począł już dołem poruszać krzewy. Równocześnie niebo w górze zaćmiło się i Joel nie widział nawet pnia, przed którym klęczał.

Uczyniło mu się straszno i mniemał, że przysłała na niego ostatnia godzina. Wtedy począł się znowu modlić, ale już w te słowa:

„Panie, robak jestem wobec twojej potęgi...”

„Robak, którego nie tylko stopa Twoja zdeptać może, ale poknąć każdy zwierz, przywalić każda kłoda i ogarnąć każdy strumień, a każdy zbój pchnąć nożem w bok i życia pozbawić...”

„Jestem grzesznik, pyszałek, łgarz i podaję się za to, czem nie jestem...”

„Palę ofiary, które lud przynosi...”

„Chwałę się przed Tobą w modlitwie, a nie korzę...”

„Celnik uczciwiej się modli...”

„Ale jeśliś Bóg, jeśliś Pan, jeśliś ten, który jest, wejrzyj na mnie a ratuj...”

„Naprawię się, Panie... W świątyni czynię będę pokutę... Posypię głowę popiołem i czynię będę na głos wyznanie grzechów...”

„Panie, żali mogą uczynić coś więcej?...”

Wicher rósł, wzmagął się, miotał lasem. Potężne cedry kołysały się, sprawiając niezmierny szum. Strach Joela rósł ustawicznie i wreszcie doszedł do ostatecznych granic. Po nim wszczęła się rozpacz. W tej chwili ptak jakiś zachichotał w górze a w oddali ozwał się przeciągły ryk zwierza: Joel począł bluźnić z rozpacz:

„Nie wejrzałeś, panie, na mnie i nie wysłuchałeś modlitwy mojej?...
— Tyś Bóg? Tyś Pan?...
— Sługi swe opuszczasz w posępny las i wśród dzikiego zwierza?

— Ale prawda! Czterdzieści lat wodziłeś na puszczy Mojżesza z całym ludem! Czterdzieści lat!

— Jakiś ty Bóg? Nie, tyś nie jest ten, który jest...

I pluł na ziemię, na której klęczał, pluł na pień drzewa, który przed nim był, pluł powietrze, którym oddychał, pluł na niebo, za którym krył się Adojnoj, nie Adojnoj, ale chyba Suten...

W tej chwili poczuł dłoń na swym ramieniu. Skoczył z ziemi, aby się bronić. Ale w mroku zarysował się łeb osła. Poganiacz, ujmował cugle zwierzęcia. Joel usiadł i ruszył.

Nagle wiatr ucichł i z za chmur wypłynął księżyc. Jasność modrawa rozlała się po lesie. Uczyniło się niezmiernie widno. Joel też zaraz się uspokoił, ale milczał. Zwierzę postępowało dziwnie rażnie. Przedarli się przez pasmo krzaków. Joel posłyszał szum potoku. Niebawem krzewy się rozstały, ukazała się rozpadlina, na której dnie huczała woda. Przez parów wiodła belka, oświecona blaskiem księżyca. Zwierzę wstąpiło na nią pewnym krokiem i po chwili przeszło na drugą stronę. Las rzedniał. Wydostali się na szeroką drogę. Wnet też ukazały się mury Jericho.

Joel przez całą drogę nie rzekł ani słówka. W mieście wszyscy jeszcze spali. Przed domem bogacza było pusto. Żaden ze sług nie wyszedł na jego spotkanie.

Więc zsunął się czempredziej z grzbietu zwierzęcia, wstąpił na schody; drzwi nie były zamknięte. Minał przedsionek i wszedł do sypialni. Szybko zrzucił szaty i leżał na posłaniu.

Odetchnął. Skończyły się wszystkie utrapienia. Wnet też z powodu ogromnego znużenia przymknął powieki i usnął. Spał zaś tak twarde, że żadne marzenie sennie nie poruszyło jego myśli.

Zbudził się dość późno, siadł na łożu i począł rozważać. Przypominał sobie gdzie jest i gdzie był. Wędrował nad Jordanem, błakał się przez las i doznawał wielkiego strachu. A to wszystko przez tego niecnego sługę. Trzykrotnie zapowiedział mu, iż go każe obczować i trzykrotnie mu to darował. Ale nie odpuścił mu jeszcze owego długiego szukania przeprawy przez potok. A to było bardzo karygodne, gdyż Joel ze strachu bluźnił. Kto był winien tego bluźnierstwa, jeżeli nie on niecny poganiacz? Żali go nie wiodł na pokuszenie? Żali Joel kiedykolwiek w życiu bluźnił? Nigdy ohydne bluźnierstwo nie splamiło jego ust, a teraz?...

Począł go gniew ogarniać. Przypominał sobie słowo po słowie, co ów niecny sługa odważył się mówić mu o owym nauczycielu i o opiece boskiej. Toć on wynosił się nad niego, nad Joela, nad członka Synhedrionu!

Nie! To krnąbrność, to zuchwalstwo, to zbrodnia! Jaką karę wymyśleć za to?

Klasnął na sługi i czekał. Ale nikt się nie pojawił. Klasnął tedy raz drugi i trzeci a następnie wyszedł do przedsionku. Natknął się na jednego ze sług; ale ten wytrzeszczył oczy i zawołał:

— Jakto, jesteś, panie? A my się trzwożymy!

— Jestem głupcze, przespałem całą noc, a wy nie o tem nie wiecie! Rozpędzę was, wygonię, każe osmagać!

— Wola twoja, panie—odparł sługa wybladły.

— Przywołaj mi natychmiast poganiacza—krzyknął Joel.

Sługa nie ruszył się z miejsca; wytrzeszczał tylko coraz bardziej oczy na pana.

— Ruszajże, niecny! — wrzasnął Joel i podniósł rękę.

Sługa odwrócił się i wybiegł.

Mijała chwila za chwilą. Joel niecierpliwił się. Wreszcie ruszył z przedsionka na dziedzińiec.

Tu ujrzał owego sługę radzącego z innymi...

— Gdzie poganiacz! — zawołał Joel grzmącym głosem.

Sługa wyjął klaniając się w pas:

— Panie... jego niema...

— Jakto? Uciekł? Co?

— Panie... i zwierzęcia niema... Tyś chyba na piechotę wrócił...

Krew uderzyła do głowy Joela. Straszni oczyma piorunował struchlałe sługi, kiedy nagle ukazało się we wrótach zwierzę a za nim poganiacz. Ten ujrawszy pana, podbiegł, padł mu do nóg i począł wołać:

— Wybacz, panie, zbłądziłem w lesie, nie mogłem cię odnaleźć... Wołałem... Obiegiem cały las oświecił i wreszcie sądziłem żeś na piechotę wrócił...

Joel zwinął pięść nad jego głową i krzyknął:

— Łiesz! tyś zemną nocą wrócił...

Posługacz zerwał się na równe nogi, był niezmiernie blady, oczy miał wystraszone. Położył palec na ustach i mówił z głębokim przekonaniem:

— Nie, panie... to nie ja... to nie ja... To pewnie uczynek naszego nauczyciela...

Joel rozwarł szeroko oczy, spojrzał po sługach. Wszyscy złożyli ręce i poczęli poruszać ustami. Poganiacz zaś mówił:

— Tyś, panie, pewnie wezwał w niedoli jego pomocy... Nie?... Może, bluźniłeś... Tak?... On ci dał napomnienie...

Joel począł dłonią raz po raz dotykać czoła. Popatrzył na osła, który był bardzo znużony, miał boki zapadłe i wciąż poziewał. Popatrzył na poganiacza, na którym noc i trudy wyrwały niestarte ślady. Popatrzył na wylekłą służbę, na dom, na drzewa. Nagle zawrócił i udał się do sypialni.

Siadł na łożku, raz po raz dotykając czoła. Rozglądał się po ścianach, po powale, po posadzce.

— Co to jest?—szeptał. Co to jest? Co to jest?

Rozmyślał w ten sposób przez cały dzień. Naprawdę słudzy wchodzili pytając, czy nie żąda posiłku. Siedział na łożku przez dzień aż do zmierzchu. Dopiero wieczorem kazał przywołać poganiacza, zamknął się z nim i coś ze sobą rozmawiali.

Słudzy czaili się pod drzwiami, ale nie mogli słów uchwycić. A oni rozmawiali do północy, do brzasku, do wschodu słońca...

O wychowaniu fizycznym kobiet.

przez

ANGELO MOSSO.

Streściła *Heleną Kuczalską*

Broszurka o wychowaniu fizycznym kobiet, Angela Mosso, jest przedrukowaniem odczytu jaki miał ten uczony w Turynie, w obecności licznie zgromadzonego audytorium kobiecego, któremu przewodniczyła sama królowa Małgorzata. Odczyt ten nosi na sobie cechę zarówno lokalną, jak i okolicznościową, a zarazem, może skutkiem tego, cechę dorywczości. Są to raczej luźne uwagi, rzucone o wychowaniu fizycznym kobiet, niż praca gruntowna i wyczerpująca autora cennych dzieł z dziedziny fizjologii i wychowania fizycznego młodzieży. Ponieważ jednak każda myśl, wyrażona przez ludzi nauki, ma wartość swoją, chociażby podlegała krytyce, i ponieważ w dziedzinie wychowania fizycznego kobiet tak mało u nas piszą i tak się po macoszemu nią zajmują, sądzę, że nie bez korzyści będzie dla nas zapoznać się z poglądami prof. Mosso. Z powodu tej cechy czysto lokalnej i okolicznościowej, zaznaczonej na wstępie, nie podaję tego odczytu w całości, lecz go streszczam w głównych jego zarysach, usuwając cały balast szczegółów i doświadczeń, na których uczony fizjolog opiera swe poglądy, i wszystkie ustępy nie mające bezpośredniego związku z głównym założeniem.

„Wychowanie fizyczne kobiety jest poniekąd ważniejszym zadaniem od wychowania fizycznego mężczyzny i tem baczniejszą należy zwrócić nań uwagę, że to, co się dotąd w tej mierze zrobiło przez wprowadzenie gimnastyki niemieckiej do szkół żeńskich, okazało się zupełnie niewłaściwym. Gimnastyka dziewcząt nie jest przygotowaniem do powinności wojskowych i uczennice nie powinny wykonywać ćwiczeń akrobatycznych; wyborem tych ćwiczeń powinny jedynie kierować: fizjologia i higiena.

Gimnastykę uważają powszechnie jak środek służący do rozwinięcia mięśni i to sobie za cel postawiła gimnastyka niemiecka, a mało kto zastanawia się, jak ona dobroczynnie wpływa na wszystkie inne organa i na najważniejsze funkcje organizmu, a mianowicie na oddychanie i trawienie. To właśnie nadaje jej pierwszorzędne znaczenie fizjologiczne. We Włoszech rozpoczynają dziewczęta gimnastykę zbyt wcześnie i zbyt prędko zaprzestają się gimnastykować. Najwłaściwsza epoka gimnastykowania się dla kobiet jest między 14-tym a 24-tym rokiem życia¹⁾ wtenczas właśnie, gdy pędzi życie najbardziej siedzące. Była chwila w czasie walki o niepodległość i po odbudowaniu ojczyzny, kiedy gimnastyka stała się modną, ale jak każda moda minęła, gdy minął zapal, który ją stworzył. Obecnie w szkołach i liceach trzeba używać środków przymusowych, ażeby skłonić młodzież do gimnastykowania się. Ci, którzy w gimnastyce mają sposobność okazać siłę swą i zręczność, chętniej się do niej garną, ale gimnastyka nie powinna być polem popisu, jej celem jest: *slabych—wzmocnić, ciężkich—rozruszać, niegracnych w zręcznych zamienić.*

Zatem powinniśmy przede wszystkim zastanowić się nad najkorzystniejszą metodą prowadzącą do tego celu, a rodzicom wytłumaczyć, że sprawa wychowania fizycznego, to sprawa przyszłości i szczęścia ich dzieci, to podwalina bytu społeczeństwa.

Wychowanie fizyczne kobiety nabiera największego znaczenia w epoce dojrzałości. Wtenczas młoda dziewczyna potrzebuje najtroskliwszej opieki. „Należy ją chronić od nadmiaru pracy umysłowej, od przygnębienia i silnych wrażeń, odżywiać ją przytem dobrze i dostarczać wiele powietrza, światła i ruchu. Pominiecie tych warunków spowoduje blednicę, anemię, zaburzenia w systemie nerwowym, a w przyszłości podkopuje zdrowie kobiety jako matki, i przekazuje jej dzieciom ubóstwo krwi, niedołęztwo organizmu“²⁾. Pogląd niektórych lekarzy, że czas dojrzewania powinien być czasem długiego odpoczynku, nie został przyjęty przez większość fizjologów, którzy przeciwnie uznali ruch jako środek skuteczniejszy, ułatwiający krążenie krwi i trawienie nader ważne w owej epoce życia. Histerya, o której tyle już rozprawiano, jest zwyrodnieniem systemu nerwowego i pochodzi po większej części z braku ruchu³⁾. Jest ona smutną prerogatywą kobiet i mężczyzn wątłych, chorobą, którą można uważać za stan ciągłego zmęczenia. Należy wzmacniać organizm przez ruch systematyczny i racjonalny. Ruch, światło i powietrze są często w stanie wyleczenia choroby i wzmocnienia całego systemu nerwowego. Jeżeli widzimy dziewczęta niechętnie poruszające się, z oczyma podkrążonemi, roztargnione, uskarżające się na bóle głowy, na sny męczące, wrażliwe, łatwo podniecające się, zmieniające szybko usposobienie z radości do melancholii, śmiechu do płaczu, ze zwykłej bledności do czerwoności, a do tego zauważymy zaburzenia nerwowe w oddechu, w głowie, leniwe trawienie—powinniśmy bez zwłoki zwrócić uwagę czujną na ten stan i nie dopuścić, aby rozdenerwowowały się bardziej jeszcze pracą umysłową i brakiem ruchu. Po-

¹⁾ W naszych stosunkach już od 10-go roku, a nawet często od 8-go dziewczynka większą część dnia traci nad książką, a więc siedzi.

²⁾ Cały ten ustęp polecam gorąco uwadze i pamięci matek i wychowawczyń.

³⁾ Jako tłumacz nie biorę na siebie odpowiedzialności za zdania wypowiedziane przez autora.

winniśmy przytem usunąć od nich wszystko, co je sztucznie podnieca; wrażenia towarzyskie, bałamutne książki, a dać im normalne zajęcie bez wysiłku umysłowego i dużo ruchu, zwłaszcza na świeżem powietrzu. Dlatego też obok gimnastyki należy wprowadzić gry na powietrzu; rozszerzyć place do ćwiczeń i uczynić wszystko co można, aby dziewczęta mogły się rozwijać w warunkach fizyologicznych.

Wiele osób ze sfery pedagogicznej sądzi, że ćwiczenia gimnastyczne, aby być pożytecznymi, muszą się odbywać z wielką energią i szybkością. Z punktu widzenia wojskowego zapatrywanie to ma pewną rację bytu, ale to, co może być uważane za ideał dla przyszłego żołnierza, mającego władać karabinem, nie może niem być z punktu widzenia fizyologa i artysty, a przedewszystkiem nie jest odpowiedni dla kobiety.

Nawet dla działania na mięśnie nie potrzebujemy uciekać się do ruchów gwałtownych, gdyż prócz zjawisk mechanicznych, jak skurcz, zachodzą w nich jeszcze zjawiska chemiczne, działające na ich rozwój i na obieg krwi.

Atleci, gotując się do walki, nacierali się oliwą, zmęczeni i wyczerpani po niej, powtarzali to nacieranie, a nie oliwa działała w tym wypadku dobroczynnie, lecz samo nacieranie, czyli nadany ruch mięśniom (ruch bierny, mięsienie *massaż*). To działanie ruchu biernego na mięśnie znane było od niepamiętnych czasów, wykazali je i udowodnili lekarze w starożytności, a wiele ciekawych nowoczesnych doświadczeń wykazało niezaprzeczenie, że w gimnastyce dla otrzymania większych korzyści fizyologicznych, trzeba nawet, aby ruch mięśni był bierny i że za pomocą ruchów łżejszych działamy skuteczniej na obieg krwi i limfy, aniżeli za pomocą ruchów silnych.

Również i na rozwój samego mięśnia lepiej działają ćwiczenia stałe i umiarkowane, aniżeli urywane i gwałtowne. Tem się objaśnia, że gimnastyka szwedzka daje nam lepsze rezultaty, niż gimnastyka niemiecka, a jej zasady są o wiele zgodniejsze z fizyologią, aniżeli tej ostatniej.

Zdarza się często spotykać zdanie, że każdy kraj powinien wytworzyć swoją metodę gimnastyczną, a nie zapożyczać jej od Niemców lub od Szwedów, zwłaszcza, że gimnastyka szwedzka nosi przeważnie cechy lecznicze. Zapatrywanie to jest bardzo błędne. Gimnastyka nie jest bowiem wytworem jednego narodu, znaną była i uprawiana w czasach starożytnych. Ciekawe napisał o niej dzieło Filostrat przed 20 tu wiekami, a najcenniejsze rozdziały poświęcił jej Orybazjusz *) w swej encyklopedyi medycznej, w ostatnim pomniku nauki starożytnej. Zasady, na których ją opierał, są najbardziej zbliżone do zasad gimnastyki szwedzkiej, ale obok nich są jeszcze inne nader cenne odnośnie do oddechu, do siły i stopniowania ćwiczeń.

Największą wadą gimnastyki niemieckiej jest to, że polega głównie na podnoszeniu ciężaru ciała rękami, a przeto na wyrabianiu tylko mięśni rąk, podczas gdy, jak to wykazaniem było powyżej, dla wzrostu mięśni, wystarczyłby ruch spokojniejszy i bez szkody organizmu nie należy podnosić ciężaru większego nad 10-tą część wagi ciała naszego.

Używając hantli trzeba na to baczną zwracać uwagę. Dowiedzionem zostało, że za pomocą

hantli siła mięśniowa w ręku dziewczynki 8-mioletniej, w przeciągu dwu tygodni, podwoiła się, a u dziewczynki 13 to letniej potroiła się w tym samym przeciągu czasu. Nie dało to jednak żadnych praktycznych rezultatów i nie odpowiadało fizyologicznym potrzebom tych dziewcząt. Gimnastyka dla kobiet powinna być nie gimnastyką wysiłku, lecz gimnastyką zręczności i wdzięku.

Zrozumiano tę prawdę w Anglii, gdzie coraz częściej zwracają się do gimnastyki szwedzkiej, nie wahając się dodawać do niej ruchów tanecznych. W Londynie, pani Chresman, autorka wielu cennych dzieł o wychowaniu kobiet posunęła eklektyzm aż do wprowadzenia do ćwiczeń gimnastycznych niektórych ruchów z tańców hiszpańskich. Szybkie ich wykonania, przecięcia ciała wywołują artystyczne wrażenie obok korzyści fizyologicznych, jakie sam ruch przynosi, mogą się wielce przyczynić do rozwinięcia wdzięku w postawie i poruszeniach kobiet, a przyznać trzeba, że byłoby to wielce dla nich pożądanem, bo jakże mało kobiet umie dobrze chodzić i z wdziękiem się poruszać. Młoda dziewczyna, siedząc ciągle nad książką i kajemtem schyloną, wysuwając ramiona ku przodowi, ziewając klatkę piersiową, chodzi zgarbiona, z głową naprzód podaną. Parę godzin tygodniowo spędzonych na gimnastyce lub na grach swobodnych na powietrzu mogą jedynie przeciwdziałać tej wielce niepożądaney, skłonności.

Matki i wychowawczynie zamało zastanawiają się nad zgubnymi następstwami zaniedbywania wychowania fizycznego na rzecz wychowania umysłowego, *) za mało obznajomione są z gimnastyką i jej fizyologicznym znaczeniem. Jedną z przyczyn tego dziwnego nieuświadomienia jest brak książek odpowiednich, gdyż suche podręczniki gimnastyczne nie mogą nikogo zachęcić ani nauczyć.

Jednym z błędów gimnastyki jest stosowanie tej samej metody i tych samych przyrządów tak dla mężczyzn, jak dla kobiet, podczas gdy potrzeby ich organizmu, w wielu razach, są różne. Dla kobiet sprawność mięśni przepony i brzucha jest rzeczą ważniejszą, niż u mężczyzn. Bywają w ich życiu chwile straszne, w których słaby skurcz mięśni przedłuża cierpienia, a czasem staje się nawet przyczyną śmierci.

Gimnastyka niemiecka przeznaczona dla żołnierzy nie liczy się bynajmniej z potrzebami kobiet, chociaż tyle jest ćwiczeń innych właściwych dla nich.

Że gimnastyka jest potrzebną, zbytecznem byłoby dowodzić, że nie jest trudną, to także jasne, ale, że może być nudną, zwłaszcza w początkach, dla wielu, to możliwe i to także musi się przyczyniać do niedostatecznego jej rozpowszechnienia. Dlatego też należy ją koniecznie uprzyjemnić zabawami, dającami więcej swobody i zostawiającami pole do samodzielności. Anglia może służyć za przykład stosowania tej metody i oto dlaczego zaledwie kilka pańienek angielskich znajduje się razem, zaraz organizują jakąś grę, a nawet do Włoch przyjeżdżając, zabierają z sobą rakiety i piłki do tennisu. We Włoszech zaś dziewczęta po wyjściu z pensyi dziwnie są poważne i jakby zaleknione, nogi stawiają ostrożnie jakby się bały stapać, poruszają się nieśmiało i niezgrabnie. W żadnym

z obecnie istniejących zakładów naukowych we Włoszech nie znajdujemy placu do Lawn-tennisu, podczas gdy w czasach odrodzenia kobieta włoska grała w palanta i widzimy ją tą grą zajętą na freskach pałacu Ferraro i pałacu Bormeuszów w Medyolanie. Teraz nie przyszłoby żadnemu artyście na myśl tak przedstawić młodą dziewczynę, bo jej tak nie widuje. Większość zakładów naukowych włoskich smutne wywiera wrażenie na zwiedzających i „budzi uczucie, że to jest rzeczą wprost upokarzającą dla nas, abyśmy dziewczętom naszym żalowali powietrza, światła, słońca i miejsca, których staramy się dostarczyć nawet więzniom i galernikom.“

Dla rozpowszechnienia gier należy stworzyć propagandę na ich korzyść, a idąc za przykładem Niemiec zwoływać kongresy, urządzać kursa gier dla publiczności i nauczycieli, wydawać o grach książki, zapoznawać się ze swojemi i obcemi grami.

Racjonalne wychowanie fizyczne oparte na wprowadzeniu gimnastyki i gier do programu szkolnego, jako przedmiotu obowiązującego, odbywanie pieszo dalszych spacerów i rozpowszechnienia wszelkiego rodzaju ruchu, nietylko nie jest przeszkodą w kształceniu się umysłowem, lecz przeciwnie ułatwia je, chroniąc kobietę od wyczerpania sił i zachowując jej przyrodzone własności. Angielki, których system wychowania najbardziej zbliża się do ideału, jaki sobie wytworzyć możemy, są tego niezbitym dowodem. Spotykamy bowiem wśród nich mnóstwo kobiet wysoko wykształconych, specjalistek w rozmaitych gałęziach wiedzy, którym lata, spędzone na ławkach uniwersyteckich, nie ujęły sił i zdrowia. Ciekawą pod tym względem ankietę przeprowadziła pani Henry Sidgwick, siostra sławnego psychologa Balfura. Wykazała ona, że na 562 kobiet, które ukończyły uniwersytety w Cambridge i Oksfordzie, te które otrzymały najwyższe stopnie naukowe, były najsilniejsze, najzdrowsze, a wyszedłszy za mąż najwięcej miały dzieci.

Przyznać trzeba, że pojęcia o piękności kształtów kobiecych ulegają przeobrażeniom, a Wenus medycyjska, z Milo i z Knidos, oraz inne klasyczne piękności wielce się różnią od eterycznych postaci praparaelistowskich. Odrodzenie jednak wskrzesiło piękność niewieściami pojętą według starożytnych i widzimy ją u Michała, Anioła, Celliniego i innych mistrzów, z mięśniami rozwiniętymi i bardzo wydatnymi.

Bezpodstawną jest obawa matek, że przez gimnastykę córki ich zatracą okągłość ramion. Jeżeli ta okągłość pochodzi z nadmiernie rozwiniętej tkanki tłuszczowej, a mięśnie są przytem wiotkie, to ona piękna nie jest. Ćwiczenia gimnastyczne usuną tłuszcz, a rozwiną mięśnie, i te dopiero wpłyną na piękność kształtów ramienia.

Włoszki mając tyle przyrodzonych warunków piękna, powinny usilnie dążyć utrzymać tradycję klasycznych swych kształtów, a kobiety innych narodowości mniej szczęśliwie obdarzone, starać się o osiągnięcie w tym kierunku możliwej doskonałości, gdyż śmiało powiedzieć można, że „część dla piękna jest w swoim rodzaju cnotą“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: *Jon Sunde*, nowella przez Jonasa Lie. Przekład Z. S. Arkusz 2.

*) Orybazjusz żył w IX wieku po Chrystusie i był przybożnym lekarzem cesarza Juliana Apostaty.

*) Według mnie autor za mały jeszcze nacisk kładzie na straszną krzywdę jaką się wyrządza młodzieży poświęcając jej zdrowie, dla wiedzy.

Treść: Przy kominku (Pogawędka), przez ??—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym (dalszy ciąg). — Bez duszy powieść przez Cecylię Walewską (dalszy ciąg). — Teatr, przez Kazimierza Glińskiego. — Napomnienie (dokończenie). — O wychowaniu fizycznym kobiet, przez Angelo Mosso. Streściła Helena Kuczalska.

Dodatek obejmuje: *Jon Sunde*, nowella przez Jonasa Lie. Przekład Z. S. Ark. 2 — Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Serwetka na stolik z krzyżkowym szlakiem.

Rycina Nr 17, 18 i 26.

Ładna, 55 ctm. szer., 100 ctm. długa serwetka z „jawa“ materyi, koloru jasno-szarego, z szerokim szlakiem po obu końcach, a naokoło węższym; środek zdobią pojedyncze figury. Deseń wykonany jest krzyżkowym ścięciem jedwabną filozelą koloru żółto-kremowego i ciemnego.

Garnitur futrzany dla dziewczynki od 13 — 14 lat.

Rycina Nr 19 - 21 w Bl. Nr 47.

Milutkim jest garniturek bobrowy, składający się z kapelusza, kołnierza i mufki, szczególnie do żakiecika, lub paltocika, przybranego też bobrami. Kapelusik w formie bereciku, ze spiczastą główką, przybrany na boku sutą kokardą z ciemnej, atlasowej wstążki i fantazyjnymi piórami. Kołnierzyk zakończony ogonkami zwierzątek krzyżuje się na przodzie i zapina niewidocznie na klamerkę. Mała mufeczka zakończona pomponami.

Ławeczka pod nogi, stolik do pisania i dywanik przed łóżko.

Rycina Nr 22—25 w Bl. Nr 47. (Wzór odwr. str. tabl. fig. 127—129).

Podstawa z drzewa z toczonemi nóżkami, 35 ctm. długa, 21 ctm. szer., pokryta jest prześlicznym haftem „Smyrna“, wykonanym na delikatnej kanwie, naokoło oszycie stanowi pasmanteryjny sznureczek i frendzla.

Na praktyczny dywanik na stolik, przedstawiony na rycinie Nr 24, bierze się kawałek płótna 64 ctm. dług., 44 ctm. szerok., brzeg oszywa się skórą z długim włosiem, później przyszyty jest kawałek materiału z filcu, na którym łatwym ścięciem wykonany jest naokoło deseni, środek z wełnianego, czarnego pluszu, na wierzchu którego przyszyta jest skóra z długim włosiem w rodzaju futerału, lub kieszeni.

Dywanik przed łóżko, przedstawiony na rycinie Nr 25, jest zrobiony ze 100 ctm. dług., 64 ctm. szer. materiału filcowego, powycinanego naokoło w małe ząbki, na rogach tworzy duże zęby. Na każdym rogu zrobione są



Nr 1. Kapelusz do teatru dla młodych pań.



Nr 2. Suknia balowa z tiulu.

z materiału tegoż ozdoby w formie liści koloru oliwkowego, a naokoło wyszyty jest deseń oliwkową z brązowym wełną.

Kapelusz do teatru dla młodych pań.

Rycina Nr 1.

Śliczny ten kapelusik w formie toczka, przybrany jest plisowaną, jedwabną gazą i riuszkami z tejże gazy. Dwa różowe, strusie pióra, dopełniają całości.

Suknia balowa z tiulu.

Rycina Nr 2.

Skromna ta sukienka z tiulu białego w deseń, składa się z gładkiej spódniczki i bluzkowego stanika wyciętego, przybranego przy wycięciu gipiurowymi zębami i z sutej rozety z aksamitki czarnej, która wraz z zębami długimi końcami spada na boku stanika aż do paska z czarnej aksamitki. Rękawki krótkie są z plisowanego tiulu, takąż plisowaną falbanką otacza stanik pod zębami. Na szyi przepaska z szerokiej, czarnej aksamitki, spięta z tyłu na klamerkę ze strasu.

Balowe ubranie, przybrane różami.

Rycina Nr 3.

Oryginalne jest ubranie z różowej, jedwabnej gazy; na spódniczkę z „taffet“, oszytą u dołu dwiema falbankami plisowanymi z gazy, spada tiunika z jedwabnej gazy, wycięta w zęby u dołu, której oryginalne przybranie stanowią robione róże, składające się z oddzielnych listeczków, przymocowanych do gazy. Staniczek wycięty, marszczony, ogarniowany naokoło różami i pentelkami ze wstążeczki. Rękawki krótkie są z wążutkiej draperyi z gazy, zebranej na ramionach. Faldowany pasek jedwabny, zakończony z tyłu kokardą z długimi końcami.

Ubranie wizytowe ze stanikiem w zęby.

Rycina Nr 4.

Spódniczka jedwabna koloru heliotrop, ogarniowana ażurowymi pasami z zębów, które są zakończone kokardami. Stanik z ażurowych zębów, też na jedwabiu, ma kamizelkę z kremowej, jedwabnej gazy, układanej w fałdki, rękawy też z ażurowych zębów, paseczek takież z kokardką na boku.

Laufer na stół.

Rycina Nr 5. (Wzór pierw. str. tabl. fig. 59 i 60).

Bierze się materiał 142 ctm. długi, 45 ctm. szer., koloru czerwonego, na tem wyszywa się



Nr 3. Balowe ubranie, przybrane różami.

Nr 4. Ubranie wizytowe ze stanikiem w zęby.

szlak hamburską włóczką i jedwabną filozelą. Zewnętrzny szlak robi się wypukłym ścięciem jasno-niebieską włóczką, wewnętrzny deseń, jako to: listki — zieloną włóczką, kwiatki — złotą — żółtą jedwabiem w ciemnym odcieniu, a inne figury — brązowo-zielonym jedwabiem płaskim ścięciem.

Pompadour, ozdobiony wyszyciem.

Rycina Nr 6. (Wzór odwrotna strona tablicy fig. 126).

Pompadour z czerwonego pluszu, ozdobiony wyszyciem ze złotego i srebrnego druciku, ze złotymi paciorkami i guziczkami. Bierze się 60 ctm. długi, 20 ctm. szer. kawałek pluszu i jasno-czerwonego atłasu na podszewkę i zeszywa to razem, zostawiając otwór; następnie przeciąga się czerwony, jedwabny sznur z pomponami.

Szydełkowa kapotka dla dziewczynki od 1—2 lat.

Rycina Nr 7.

Skromny ten kapturek, zrobiony jest szydełkiem białą bawełną, różową filozelą, obdziergany i ozdobiony różowymi wstążkami.



Nr 8. Sukienka szydełkowa dla dzieci od 1—2 lat.

Szydełkowa sukienka dla dzieci od 1—2 lat.

Rycina Nr 8.

Ładna ta sukieneczka, przewleczona wstążeczką, robi się bawełną.

Kieszonka do zawieszania i fartuszek do zabawy dla dzieci.

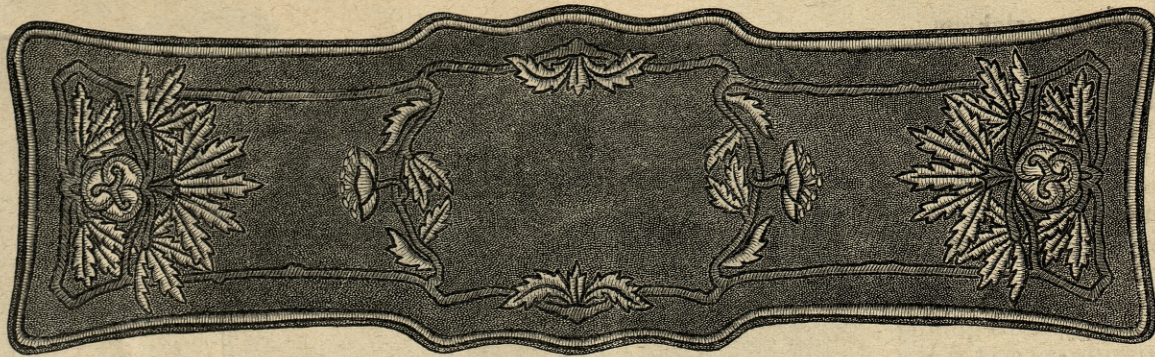
Rycina Nr 9 i 10 (Wzór odwrotna strona tablicy fig. 122—125).

Miłą nowością jest kieszonka do zawieszania, dzieci mogą tym sposobem mieć wciąż pod ręką fartuszek. Kieszonka i fartuszek są z czerwonego materiału z prześiebnowaną białą pliszką, prócz tego są ozdobione szlaczkiem, wykonanym łatwym ścięciem, białą i brązowo-złotą nitką. Fartuszek zapina się na krzyż z tyłu.

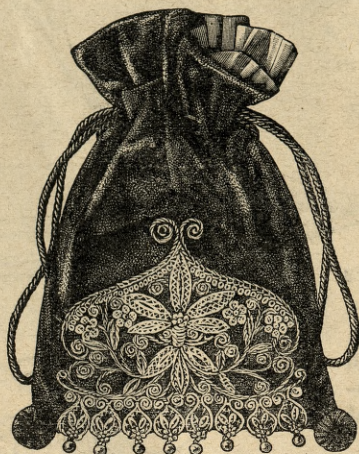
Paltocik i kapelusz dla dziewczynki od 9—10 lat.

Rycina Nr 13.

Do kolan długi paltocik z jasno-szarego sukna jest z przodu u dołu zaokrąglony, zapina się na dwa rzędy guzików z perłowej masy. Stebenek zdobi paltocik, a wyłogi, wysoki, stojący kołnierz i epoletki na rękawach są z futerka.



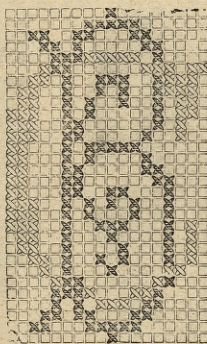
Nr 5. Laufer na stół.
(Wzór pierwsza strona tablicy fig. 59 i 60).



Nr 6. „Pompadour,” ozdobiony wyszyciem.
(Wzór odwrotna strona tablicy fig. 126).



Nr 7. Kapturek szydełkowy robotą, dla dziewczynki od 1—2 lat.



Nr 11. Monogram C. B.



Nr 12. Suknia dla starszych pań.
(Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr I, fig. 1—11).

Suknia z haftowanymi ranwersami.

Rycina Nr 20.

Spódniczka gładka z kawowego koloru sukna z gładkim staniczkiem, ozdobionym patkami z guziczkami i ranwersami, haftowanymi jedwabiem i kordonkiem złotym i brązowym. Kamizelec z poprzecznymi pliskami.

Lejce na konie.

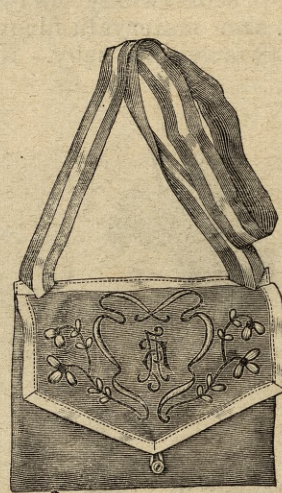
Rycina Nr 23. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 62).

Na lejce z czerwonego, filcowego materiału używa się też ozdoba, wycięta w formie bawetu z tegoż materiału, na której zrobiony jest deseń z kolorowego sukna, szmizet z kawałeczków sukna, może być ten deseń wyszyty włóczką. Lejce są ozdobione dzwoneczkami mosiężnymi.

Karczek do koszuli, robiony szydełkiem.

Rycina Nr 24 i 25.

Ładny ten karczek, robiony jest bawełną Nr 40, składa się z osobnych figur, zełączanych ze sobą.



Nr 9 i 10. Kieszonka do zawieszania i fartuszek.
(Krój i wzór odwr. str. tabl. fig. 122—125).

Tablett z malowaniem wypalaniem na drzewie.

Rycina Nr 26. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 61).

Nasza rycina przedstawia 40 ctm. długie, 28 ctm. szerokie „tablett” z politurowanego drzewa z rysunkiem, wykonanym sposobem wypalania, rączki politurowane z niklową oprawą, zamiast tego sposobu można zrobić ten rysunek haftem, na tle z kremowego rypsu, wyszyć kolorową filozelą ptaszki, kwiatki i cały szlaczek.

Serweta na kredens.

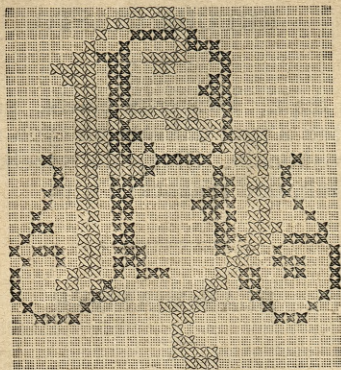
Rycina Nr 27 i 28.

Serweta ciemno-zielona, ozdobiona szlaczkiem, wykonanym ze skórki, także złotym sznurem i mocną, złotą nitką. Najpierw robi się szlak złotym sznurem, później kwiaty i liście w rozmaitych odcieniach skórki, pączki też złotym sznureczkiem, nareszcie podszywa się serwetę satynką.

Suknia przybrana patkami.

Rycina Nr 29.

Wielką elegancją odznacza się ubranie z brunatnego sukna, przybrane turkusowego koloru aksamitem. Brzegi sukni w za-

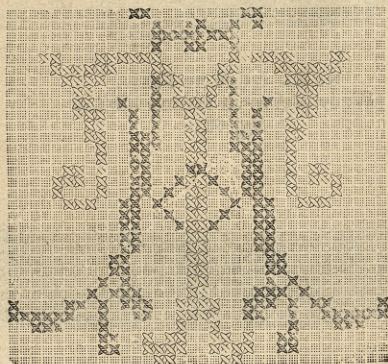


Nr 22a. Monogram H. R. Haft krzyżową robotą.

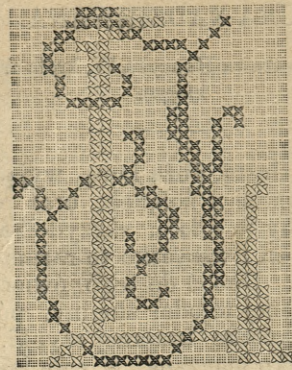
kładeczki z wypustkami, z tegoż koloru aksamitu całe ubranie przybrane jest patkami ze złotymi guziczkami. Kołnierz w formie karczka, stojący kołnierzyk i rękawy, przybrane haftem ze złotego sznurka.



Nr 13. Paltocik i kapelusz dla dziewczynki od 9—10 lat.
Nr 14. Sukienka, ozdobiona stebenkiem, dla dziewczynki od 10—11 lat.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 91—103).



Nr 22b. Monogram A. T. Haft krzyżową robotą.



Nr 22c. Monogram J. E. Haft krzyżową robotą.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

BIGOS Z ZAJĄCĄ.

Mając ugotowany przodek zajęczy, lub lepiej upieczony, także resztki pieczeni,



Nr 15. Żakiecik z wyszyciem.
(Krój i opis odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 104 do 110).



Nr 16. Płaszcz dla dziewczynki od 5—6 lat.
(Krój i opis odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 111—115).
Nr 17. Płaszcz dla dziewczynki od 6—7 lat.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 116—121).

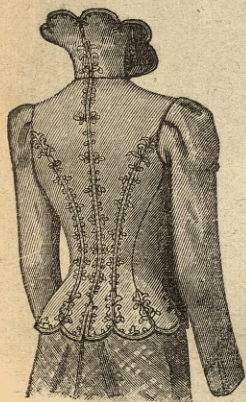
Suknia z materiału wełnianego w paski i aksamitu.

Rycina Nr 31.

Suknia z angielskiego mocnego „diagonal” materiału szaro-zielonego koloru, składa się ze spódniczki, rozchodzącej się na przodzie, a na dole wyciętej wężby, gdzie widoczny jest aksamit. Staniczek formą żakietową z kamizelką aksamitną. Staniczek i spódniczka po brzegach oszyte stebenkiem.



jeżeli są jakie, pokrajać drobno, włożyć w rondel z kawałkiem masła, wiązką jarzyn i łyżką oliwy, opieprzyć i osolić. Zmieszać z zasmażoną osobno łyżką dużą mąki, zasmażyć chwilę razem, dodać szklankę wina czerwonego. Potem gotować jeszcze. Wydając, należy precedzić sos przez gęste sitko.



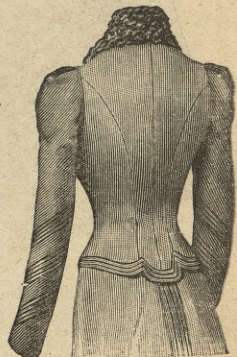
Nr 18. Plecy żakietu do ryciny Nr 19.

Nr 19. Żakiet z wyszyciem z sutaszu.
(Krój i opis pierw. str. tablicy Nr IV, fig. 32—42).

Nr 20. Suknia z haftowanymi ranwersami.

Nr 21. Peleryna z wyszyciem i futrzanym kołnierzem. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 85—90).

Nr 22. Plecy do sukni do ryciny Nr 15 w Bl. Nr 47.



KURA NADZIEWANA.

(Ulubiona potrawa Henryka IV, króla francuzkiego).

Oczyszczyć tłustą, dużą kurę, wyjąć z niej wątróbkę, serce i żołądek, oraz większe jajka, jeżeliby je miała, skrzydelka obciąć i obrać z kości i wszystko to razem doskonale usiekać. Dodać do tego ćwierć funta drobno krajanej młodej słoniny, pół funta również w kostkę krajanej szynki, jedną bułkę w mleku maczaną, 2 całe jaja, trochę korzeni, siekanej pietruszki, pół ząbka tartego czosnku, oraz soli i pieprzu do smaku. Wszystko doskonale wymieszać i tym farszem napęlić, zaszyć kurę i włożyć ją do wprzód ugotowanego i przeceźzonego rosółu, zostawiając godzinę na wolnym ogniu, aby się powoli gotowała.



Nr 28. Część szlaku do ryciny Nr 27.

KRUCHE CIASTO.

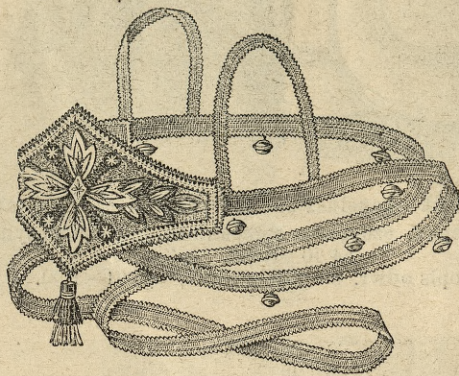
Kwarta mąki, kwaterka masła, pół funta cukru, 5 żółtek z tym cukrem ubitych zagnieść na ciasto. Doskonale. Służy do wszelkich owocowych ciastek, pod mazurki i t. p.

BLANCMANGER.

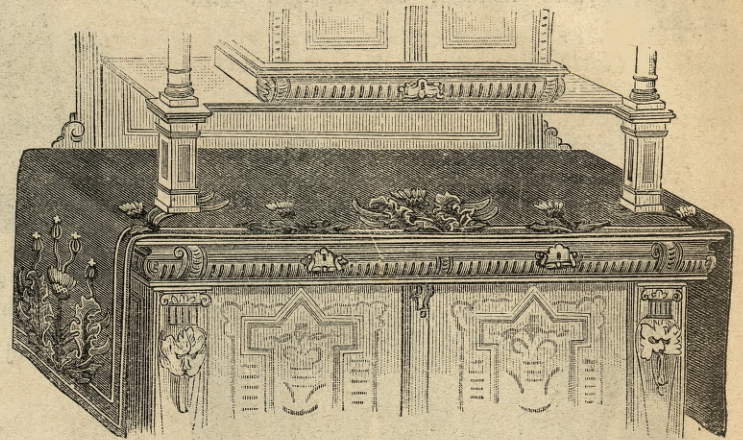
Jeden funt słodkich migdałów, sparzyć i utłuc, przetrzeć przez durszlak za pomocą kwarty wody. W ten sposób utworzone migdałowe mleczko, wymieszać z półtora funtem cukru mialkiego, 6 łutów gelatyny rozrobionej, przelać wszystko przez sito do formy, ostudzić na lodzie i wydać na stół.



Nr 26. Tablett z malowaniem wypalaniem na drzewie. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 61).



Nr 23. Lejce na konie. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 62).

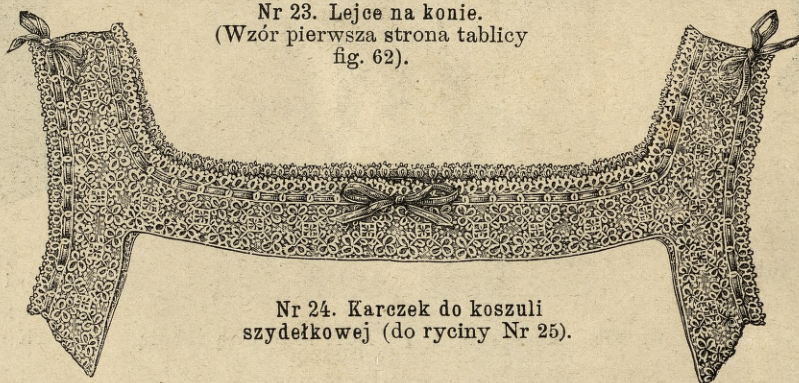


Nr 27. Serweta na kredens (do ryciny Nr 28).

Wydać na stół w całości ułożoną na zielonej pietruszce, na półmisku, z wierzchu posypaną grubą solą. Tak przyrządzona kura jest wyborną a rosół wysmienity. Nadzienie powinno być dosyć ścisłe.

CIASTKA ANYŻKI.

Funt cukru, 7 jaj ubić dobrze miotką, trzymając na ogniu, aby się



Nr 24. Karczerek do koszuli szydełkowej (do ryciny Nr 25).

Obiad na Niedzielę.

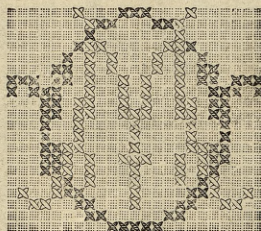
1. Zupa cytrynowa.
2. Paszteciki w kruchym cieście.
3. Polędwica z drażonymi kartofelkami.
4. Marchewka z grzankami.
5. Jarzabki z kompotem mięs zany.
6. Krem z jabłek ze słodką śmietanką.



Nr 29. Suknia, ozdobiona patkami.

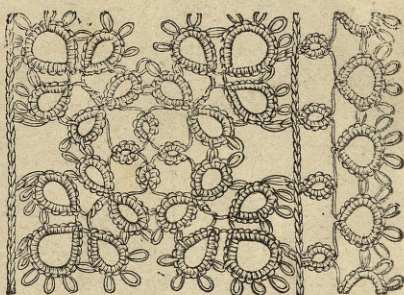
Nr 30. Suknia z zakieciem.

(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 75—84).



O. M.

cokolwiek zaparzyły. Następnie zdjąć z ognia, bijąc miotką ciągle, dodać funt mąki, trochę anyżku dla zapachu, wymieszać do zupełnego wystudzenia i łyżką kłaść spore kółka na blachę, masłem wysmarowaną. Wstawić w piec niezbyt gorący na trzy kwadransy, aby ciastka nabrały tylko złotawego koloru.



Nr 25. Część karczku do koszuli do ryciny Nr 24.



Nr 31. Suknia z welnianego materiału w paski.

Nr 32. Sukienny kostium z nowym krojem spódnicy. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 63—74).

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”